Wychodzi: *we Wtorek, Czwartek i Sobotę*

PRZEWODNIK

jako dodatek bezpłatny do Dziennika literackiego.

Dnia 6. Września. **Nr. 45.** Rok 1856.

Wieczorek tańcujący. (Ciąg dalszy.) Tym nowym gościem był Hrabia Alfred;— otworzył drzwi z trzaskiem i zostawił je nie zamknięte.

Pan Atanazy o mało koziołka nie przewrócił spiesząc na jego przyjęcie.

— Upadam do nóżek—jakżem szczęśliwy—tandem jakiż to honor—i kłaniał się i suwał nogami i powtarzał ciągle: jakem szczęśliwy.

Pani Klepacka porzuciła kochaną Prokuratorowę, przybiegła—dygnęła misternie trzy razy, i tyleż razy spojrzała czule na gościa i rzekła:

— Zaszczyt jaki nas w tę porę spotyka, głęboko utkwi w naszych sercach.

Pan Alfred obejrzał się w koło po sali, kiwnął głową panu Atanazemu, podał od niechcenia końce palców pani Klepackiej i ujrzawszy Żanetkę, siedzącą na kanapie z pannami, dał susa i rzucił się na kanapę tak nagle, że o mało nie usiadł na kolanach jakiejś młodziutkiej blondynki. Ubrany był jakby na wizytę ranną do którego z kolegów. Miał na sobie frak koloru rozmarynu, ze świecącemi guzikami, spodnie, naśladujące skórę pantery, kamizelkę kaszmirową i wąziutką tasiemkę na szyi, zastępować mającą krawat. Podał rękę Żanetce—wyciągnął nogi, zadarł głowę, ziewnął i powiedział jakiś zwietrzały francuski komplement.

Pani Klepacka nie posiadała się z radości.

O w pół do dziesiątej zgromadziło się około 80 osób. Teatr—teatr! zawołano w różnych miejscach salonu;—posypały się programy, kobiety zajęły krzesła, mężczyźni tłocząc się po kątach, pomieścili się jak mogli za krzesłami. Klaśnięto w dłonie i rozsunięto kurtynę.

Rolę Ojca Michała, poczciwego stolarza, dawniej żołnierza i tęgiego rębacza, który pozwala ulicznikom stroić z siebie żarty i daje się powodować córce, ale jeszcze krzyżowej sztuki nie zapomniał—wziął pan Bonawentura, stary kawaler,—*czubata kureczka*, jak go powszechnie zwano; człowiek co podjąłby się był roli Otela albo Hamleta, gdyby mu jaka Pani Radczyna albo Sędzina kazała być którym z bohaterów Szekspirowskich.

Rolę Roberta, tęgiego rzemieślnika, który kocha czule ojca Michała i czuwa nad jego bytem, ale oburza się na każdą niesprawiedliwość dotykającą biednych, na każdą płochość Joanny, przyjął na siebie pan Spirydjon Bryzgalski, kancelista z Ratusza, zawołany szermierz bilardowy i bohater w pufa albo w kręgle.

Rola Joasi, poczciwej ale zalotnej dziewczyny, najwłaściwiej może dostała się Żanetce.

Zaraz w drugiej czy trzeciej scenie, kiedy Ojciec Michał powiada, że jego Anioł Opiekuńczy zapomniał o nim, sufler siedzący w szafie odezwał się:

— Otwórz drzwi bo się uduszę.

Pan Bonawentura bez namysłu powtórzył:

— Otwórz drzwi bo się uduszę;—widząc jednak, że to jakoś nie przypada do roli, poprawił się—bo ciebie uduszę;—nie, nie—i to nie tak.

Mężczyźni parsknęli śmiechem — pan Bonawentura stracił przytomność, porwał się za głowę i zawołał:

— A cóż u diabła!—ten sufler czy oniemiał?

— Udusił się,—powiedział któryś z widzów.

— Udusił się!—krzyknęły kobiety—wody! doktora!

Rumot zrobił się wielki, pospieszono na ratunek zagrożonemu utratą życia, i upłynęło kilka minut zaczem wszyscy wrócili na swoje miejsca.

Jednakże ten niefortunny wypadek był zapowiedzią przyszłych kazusów. Kiedy Robert, rozgniewany na cały świat i na Joasię, stawia ze złością stołek przed kominem, pan Bryzgalski postawił go tak lekko, że aż rozleciał się na drobne kawałki. Kot, który z wysokości pieca był najobojętniejszym widzem amatorskiego teatru, przestraszony łoskotem rozbitego stołka, skoczył ze swojej loży, i skoczył tak nieszczęśliwie, że trafił prosto na głowę pana Bonawentury. Pan Bonawentura krzyknął przeraźliwie i nakrywszy połą od kapoty łysiuteńką głowę, rzucił się na ratunek swej czarno-włosej peruki, którą kot, zaplątany w gęste pukle, arcydzieło umiejętności Śniechowskiego, unosił pod krzesła. W tej pogoni kapota, osłaniająca mu łysinę, obsunęła się na oczy, pan Bonawentura już chwycił łupieżcę za ogon, gdy zaczepił się o atłasową suknię pani Nikodemowej. Chcąc wyratować się z tego trudnego położenia, ujął za poręcz krzesła. Nieszczęściem siła impetu była tak wielka, że poręcz rozwiodła się, a pan Bonawentura i pani Nikodemowa znaleźli się nagle na ziemi w swoich objęciach. Pomimo tego szkaradnego wypadku, wszyscy niemogli wstrzymać się od śmiechu, zwłaszcza gdy spostrzeżono, że suknia pani Prokuratorowej była w wielkim nieładzie i dozwoliła ujrzeć jej pulchne nóżki w ażurowych pończoszkach.

Tu już nie kilka minut, ale blisko pół godziny czasu potrzeba było do uspokojenia zadąsanej pani Nikodemowej, do przekonania zacnego pana Bonawentury, że i bez tego fatalnego wypadku wszyscy wiedzieli o jego peruce, wreszcie do przywrócenia porządku.

Pani Klepacka, siadając na swojem miejscu, szepnęła do sąsiadki:

— Dobrze że to się przynajmniej tej jędzy pani Nikodemowej dostało.

Dalsze sceny szły już jako tako, a choć pan Bonawentura ciągle się mylił, a pan Bryzgalski ciągle rozbijał stołki, sufler nie był już zagrożony uduszeniem się i jak mógł prostował pomyłki, drugiego zaś kota nie było już na piecu, a może i w całym domu. Ale wieczor ten począł się pod jakąś niefortunną konstellacyą. Nadeszła scena w której ojciec Michał uczy Roberta robić bronią. Dwie długie linje zastępowały miejsce pałaszy i z początku nie źle się ta nauka wiodła—ale pan Bryzgalski w scenicznym zapale tak się rozmachał, że zawadził linją o kinkiet,—szkło rozleciało się na drobne części, a olej w obfitych strumieniach bryznął pomiędzy krzesła, na suknie spektatorek.

— Aj, moja suknia!

— Moja berta!

— Mój stroik!

Odezwały się liczne głosy i w mgnieniu oka krzesła zostały puste. Dopiero w salonie odkryły się wszystkie okropne skutki tego smutnego wypadku. Popielata suknia pani Prezesowej wyglądała jak dropiaty strój pana Alfreda; wstążkowe berty panien Sędzianek z różowych zrobiły się buraczkowe,—elegancki stroik pani Adwokatowej przylgnął do ramion. Twarze, włosy, ręce, pomazane olejem, przypominały coś nakształt zebrań pod trzema murzynami, albo scen z Saskiej Kępy.

Pani Klepacka z całą zapalczywością powstała na pana Bryzgalskiego.

— Potrzeba być niezdarą, niezgrabiaszem, człowiekiem bez wychowania, aby w tę porę tyle rejwachu narobić!

— Ale Pani Dobrodziejko, co tu wychowanie ma za związek z linijami i olejem. Ja chciałbym jak najlepiej zabawić publiczność, ale diabeł nadał ten kinkiet,—tłómaczył się pan Bryzgalski.

— To tak samo jak tego kota,—dorzucił pan Bonawentura;— przysięgam, że odtąd żadnego kota przez próg nie przepuszczę.

— No i cóż będzie z naszej komedyi?— mówił sufler,—małoście mnie nie udusili, i wszystko na licha się nie zdało.

Żanetka siedziała w kącie, blada i smutna.

Pomimo wszelkich przedstawień gospodyni domu i zachęcań ze strony młodzieży, kobiety nie chciały już przyjść do sali teatralnej i widowisko pozostało nieskończone.

Potworzyły się gruppy — tu i owdzie posłyszeć można było szemrania, każdy miał coś i komuś do zarzucenia i zaledwie herbata i torty poprawiły cokolwiek humor niezadowolonych gości.

Następowała druga część programu. Otworzono fortepian, położono nuty, — pan Xenofont, który podjął się akompanijować pannie Pulcheryi, usiadł, wzniósł w górę oczy uzbrojone okularami, jakby w suficie szukał natchnienia do akompanijamentu i zaraz zabrzmiały pierwsze akordy. Panna Pulcherya stanęła przy fortepianie z nutami, odetchnęła silniej, rzuciła spojrzeniem do koła, chcąc się przekonać kto jest najbliżej fortepianu; poprawiła perły na alabastrowej szyjce i głosem od którego wszyscy drażliwych nerwów mogliby spazmów dostać, zaśpiewała oklepaną aryę z Roberta. Kiedy tocząc po sali romansowo omdlałym wzrokiem, wywodziła w najlepsze *łaski — łaski!* grzmot straszliwy wstrząsł ścianami, wieko od fortepianu opadło, kilka strun się zerwało, świecznik zleciał ze ściany, a pan Xenofont z taboretu.

— Piorun—piorun!—krzyknięto.

— Ależ łaskawi panowie—piorun w zimie—to się sprzeciwia prawom fizyki i meteorologii,— zawołał pan Professor.

Wkrótce przekonano się, że pan Professor miał racyą i że to nie piorun, ale pan Bonawentura narobił tego nowego zamieszania.

Jak większa część starych kawalerów, był on nadzwyczajnym wielbicielem wszystkich odkrytych wdzięków, a że panna Pulcherya umiała w tym względzie trafić mu do gustu, więc chciał sobie zrobić prawdziwą przyjemność i przysunął jak tylko można było najbliżej do celu swoich marzeń. Nieszczęście mieć chciało, że kiedy w najlepsze utopił wzrok w rozbujałem jak fale morskie śnieżnej białości łonie, zapomniał na śmierć, że łokciem oparł się o podstawkę, podpierającą wieko od fortepianu. W chwili w której z piersi jego bogini wydarło się owe krzyżącouczuciowe *łaski — łaski* — pan Bonawentura chciał dać przykład do oklasków i tak silnie nacisnął łokciem, widać nie pierwszej już młodości podstawkę, że pękła, a spadające wieko oprócz łoskotu, który wszystkich przeraził, i kontuzyi, jakiej uległ biedny artysta świeżo przybyły z konserwatoryum Paryskiego, nabiło jeszcze panu Bonawenturze takiego guza nad okiem, że korzystając z ogólnego zamieszania, wysunął się cichaczem do domu, spróbować doświadczonej w takich razach kuracyi Priesnitza.

Rozumie się, że po takiem galwanicznem wstrząśnieniu, fortepian nie mógł już służyć panu Xenofontowi do popisania się z rozwiniętym tak szybko pod obcem niebem talentem. Kilka strun pękło, reszta się rozstroiła, i pomimo najlepszych chęci p. Xenofont nie uznał za stosowne narażać zdobytą sławę na widoczne niebezpieczeństwo. Na usilne jednakże żądanie kilku dam, dla rozerwania zasępionego towarzystwa, po wielu wahaniach się i grymasach, zaśpiewał tak nazwaną humorystyczną piosneczkę, w której *zdaje się*, że po każdej zwrotce przypadał dwu-wiersz następujący:

A gdy zobaczę wronę lub gawrona,
To mi się ciągle przypomina *ona!*

Piosenkę przyjęto z oklaskami—i już jakieś basowe głosy odzywały się *fora*, gdy nieszczęśliwy wirtuoz, najęty na całą noc do rozweselania zebranych gości i nawiązawszy jako tako pęknięte struny, z dwoma swemi pomocnikami, z których jeden wtórował mu na skrzypcach a drugi na klarynecie, zagrał skoczną polkę.

Polka, walc, a następnie kontredans, zatarły w pamięci bawiących się i przygody pana Bonawentury i potłuszczone olejem stroje, i niedośpiewaną aryę z Roberta i arcy-zabawną piosnkę o wronie, bo taniec ma tę swoją dobrą stronę, że wirem swoim porywa nietylko nogi tancerzy, ale i ich myśli i serca. (D. n.)

* **Biblioteka polska, wydawana w Sanoku** dała powód uczonemu historykowi, Julianowi Bartoszewiczowi do obszerniejszej rozprawy. Mowi najpierw, iż wydawcy powinni byli, nim się zabrali do druku, wybrać wszystko, co ogłaszać zamyślają. Czytelnicy nie prenumerowaliby kota w worku. Dalej za bardzo niestosowne uważa, iż wydawcy żądali od prenumeratorów zobowiązania, że na całą bibliotekę kolejno będą składać opłatę — można było tego wymagać jedynie po ludziach albo bardzo bogatych, dla których tysiąc złotych mniej, tysiąc złotych więcej nic nie znaczy, albo po ludziach, którzy dotąd żadnych książek nie mieli — a teraz pytanie, czy ci ostatni byli już gotowi do strawienia takiej massy pokarmów? Wydawcy żądali od swych prenumeratorów, żeby obowiązali się do trzymania Biblioteki za siebie i za swych następców (!), nawet stanowili kary na tych coby ustali prenumerować, i jeżeliby który z nich chciał kupić jakie dzieło lub przynajmniej zeszyt, musiałby podług statutów Biblioteki dopłacać do każdego zeszytu trzecią część ceny prenumeracyjnej; nawet jakby w formalnem prawodawstwie parlamentarnem, wydawcy stanowili, że wtedy tylko zobowiązanych prenumeratorów zwalniają z długu jaki zaciągnęli, gdyby stracili majątek. W parlamentach od zasiadania na sesjach urzędów, uwalnia choroba, tu widzim że choroba nic nie znaczy, ale strata majątku. Oryginalne i zabawne są te wszystkie przestrogi. Jaką prawodawcy sanoccy mieli władzę, żeby zapewnić posłuszeństwo swoim wyrokom? Tutaj rzecz cała leżała w dobrej woli prenumeratorów i być inaczej nie mogło, trzeba się na nich spuścić, oni lepiej sami wiedzieli, jakiego im brak duchowiego pożywienia: jak można ich było zmusić do robienia tego, czego właśnie robić nie chcieli? A jeżeliby do tego wyborowi dzieł do przedruku było co do zarzucenia? Tutaj najniewinniej albowiem narazićby się było można ludziom lub nawet opinji, jakaż rękojmia dla nich, że to nie nastąpi?

Nie zdaje nam się zatem, żeby obawy redakcji Biblioteki sanockiej były usprawiedliwione. W jakiejś solidarności prenumeratów swoich widzieli zbawienie, ale niepotrzebnie. Czytelnik taki co kocha literaturę i ceni książki, co je chowa u siebie, kupiłby to z Biblioteki czego nie ma, czego mu potrzeba było, — miałże kupować wszystko? Na to potrzeba kapitałów.

Biblioteka sanocka to nie pismo perjodyczne, którego nie prenumerując kwartał, sobie i komuś komplet się psuje, to nie dzieło jednego autora, jednej treści, jednego przedmiotu: Wolny handel cuda działa. Nam się zdaje, z większą pewnością mogli rachować wydawcy że uda się Biblioteka w dostępnej cenie i w massie zainteresowanych konsumentów, którym wybór będzie wolny, jak w dowolnie nakładanych warunkach, które żeby prawem zrobić, do tego siły nie mieli.

W każdym jednak zeszycie Biblioteki, w każdej odezwie redakcji przebija się ta obawa o prenumeratorów nad wszystko. Od tego robią zależnem wydawcy samo przedsięwzięcie i wszelkie jego przyszłe ulepszenia, o których myśleli. Wydawcy modlili się ciągle do Boga o jakie tysiąc prenumeratorów, ich ambicja nie sięgała dalej: jeżeli będzie tysiąc, mówili, damy czytelnikom portrety i nawet różne podobizny z dawnych dzieł; gdyby 2,000 prenumeratorów (naturalnie na wszystkie zeszyty) było, zamiast tysiąca ubiecanych zeszytów, wydrukujem ich nierównie więcej i darmo jo rozeszlem czytelnikom. Otóż zawsze ta nieszczęśliwa solidarność. Kto z czytelników chce żeby mu

nakładca, księgarz jaki robił podarunki? Juścić każdy z nich podarunek przyjmie, ale na co to? Będzie literaturze wtedy zupełnie dobrze, kiedy wszystkim stronom interesowanym w sprawie, będzie dobrze, to jest razem i autorom i nakładcom, wszelkie wysiłki nie zawsze posłużą na zdrowie.

(D. n.)

* **Dla czego we Lwowie dzienniki polityczne wznieść się nie mogą?** Głównym przymiotem politycznego dziennika jest jak najszybsze podawanie nowin czytelnikom. Co do lwowskich pism zachodzi pytanie, czy mogą one równie szybko podawać nowiny polityczne jak inne pisma niemieckie i krakowskie?.. i jakiej ilości czytelników?...

Na pierwsze pytanie odpowiemy, że w razie utrzymywania stałych i dobrze poinformowanych korespondentów w Paryżu, Londynie, Berlinie, Wiedniu etc. dziennik lwowski może podać często jakąś wiadomość czytelnikom miejscowym równocześnie z dziennikiem krakowskim lub obcym, wszystkie inne wiadomości, czerpane z dzienników na drugi dzień dopiero pojawią się w lwowskim. Lecz pytanie drugie zachodzi, dla jakiej ilości czytelników? W tym względzie wynikają wielkie trudności, pochodzące z położenia Lwowa. Najprzód cała zachodnia część Galicyi, od Lwowa począwszy już z pisma lwowskiego korzystać nie może, bo wiadomości w niem zawarte będą o dwa i trzy dni poźniejsze od wiadomości z Czasu lub z obcych dzienników. Powtóre: do Stryja na Sambor przychodzi krakowska poczta, równocześnie jak do Lwowa i odchodzi dalej przez Stanisławów do Czerniowic. Wszystkie więc miejsca położone w Przemyskiem, Samborskiem, Stryjskiem, Stanisławowskiem, Kołomyjskim i na Bukowinie, otrzymują z tego powodu nowiny polityczne z Czasu lub z pism na Kraków przychodzących o dzień pierwej, jak je z lwowskich otrzymać mogą. Dziennik więc lwowski polityczny przy największej zapobiegliwości może jedynie zachować na czytelników miejscowych, na Żółkiewskie, Złoczowskie, Brzeżańskie, Tarnopolskie i Czortkowskie. Śród takich okoliczności łatwo zrozumieć, dla czego dzienniki polityczne we Lwowie wznieść się nie mogą.

Przyjechali do d. 2. września do Lwowa.

PP. Józ. Weinfeld z Żółkwi. Mar. Wartarasiewicz z Złoczowa. Józ. Zeschik z Turki Wład. Mniszek z Ostrowic. Lud hr. Wodzicki z Zamościa. Her. Sadowski z Lubienia. Fel. Oelberg z Janowa Józef Stanek z Wiszenki. Mich. Wierzchowski z Tuszkowa. Stan. Łodyński z Milatyna Tyt. Winnicki z Nowosiółek. Wojc. Karniewski z Łopatyna. Aug. hr Łoś z Werchraty. Hen. Howerka. Ant. Zawadzki z Krakowa. Józ. Wierzbicki z Brzeżan. Józ. Skrzyszowski z Sewerynki.

PP. Jul. Stojałowski z Stryja. Wład. Zawadzki z Jezierny. Teod. Rudnicki z Strzałek. Ant. Pietrusiewicz z Uniowa. Jul. Mochnacki z Skwarzawy. Mich. Kozłowski z Złoczowa. Wilh Jorkasch-Koch z Stok. Kon. Gadomski z Krakowa. Aug. Żurakowski z Horbacza. Jęd. i Jerzy Hafenko z Karlsbadu. Jan Komarnicki z Sambora. Franc. Małęcki z Sokala. Alex Podleski z Brzeżan. Wen. Lityński z Chlebowic. Leon Wierzchlański z Brodów. Kar. Korczyński z Iwonicza. Stan. Malczewski. Adam Cybulski z Truskawca. Ant. Zminkowski z Stanisławowa. Marceli Ilnicki. Sand Domaradzki z Stryja Tom Grabianka z Ohladowa. Leon Gizowski z Chmiela. Wikt. Gizowski z Ruskiela.

Wyjechali do d. 2 września ze Lwowa.

PP. Alf hr. Dzieduszycki do Siechowa. Ant. Nahujowski do Czernicy. Józ. hr Tarnowski do Stryja. Wład. Jędrzyjowicz. Jul. Czaderski do Sambora. Jan Dębowski do Sokolnik. Lud. Dolański do Rakowy. Franc. Zabstyński do Kutkorza. Wład Brenner do Grodowic. Ant. Sarnowski do Lawrykowa. Tad. Niewiadomski do Soposzyna. Wacław Obertyński do Sawczyna. Franc. Męciński do Huty. Paweł Tomanek do Smarzowa. Wikt. Rozwadowski do Babina. Mich. Ribieski do Łukawic. Kaz. hr. Wodzicki do Gajów.

PP. Zen Lubomęski. Fel. Lewicki do Bełza. Leop. Obertyński do Stronibab Kar. Hilbricht. Piotr Duchnowski do Żółkwi. Jul. Skolimowski do Dynisk. Her. Münter do Waniowa Woj Studziński do Niesłuchowa Stan Łodyński do Buska. Józ. Skrzyszowski do Soposzyna. Maur. hr. Dzieduszycki do Zborowa Jul. Gregorowicz do Stanisławowa. Wen. Jełowicki do Humnisk. Zyp. Kopestyński do Wojtkowic. Woj. Jodko. Franc. hr. Komorowski do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 3. września.

Augsburg za 100 złr.	$103\frac{1}{4}$	Pożyczka 5% . . .	$83\frac{3}{4}$
Hamburg za 100 tal. branco	$76\frac{1}{4}$	Akcye banku	1092
Londyn za 1 funt szterl.	$104\frac{1}{2}$	Kolej północna . . .	—
Medyolan za 300 lirów	$102\frac{5}{3}$	Obl. ind.	$77\frac{9}{16}$
Paryż za 300 franków	$119\frac{7}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$110\frac{1}{8}$
Agio duk. ces. . . .	$7\frac{1}{2}$	Pożyczka narodowa .	$85\frac{9}{16}$

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr	złr.	kr
Dukat holenderski	4	45	4	48
Dukat cesarski	4	49	4	52
Półimperyał zł. rosyjski	8	16	8	20
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	10	1	11
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	81	30	81	45
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	76	50	77	10
5 proc. pożyczka narodowa	85	—	85	15
Śrebro	—	—	—	—

Lwów, 26 sierpnia. Na dzisiejszym targu płacono:	po		do	
	złr.	kr	złr.	kr.
Korzec pszenicy ozimej - - -	10	30	11	—
„ Żyta - - - -	5	36	6	24
„ Jęczmienia - - -	—	—	—	—
„ Owsa - - - -	2	48	3	14
„ Grochu - - - -	—	—	—	—
„ Hreczki - - - -	—	—	6	—
„ Ziemniaków - - -	2	—	2	18
Sąg drzewa bukowego - - -	11	30	12	30
„ Sosnowego - - -	10	—	10	30
Centnar siana - - - -	1	—	1	9
„ słomy - - - -	—	30	—	35
Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty	—	—	—	—

INSERATY.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę: W. MANIECKI. W drukarni zakładu narodowego im Ossolińskich.